

NOWA JUTRZENKA

TYGODNIOWE PISMO OBRAZKOWE

WYCHODZI C'O CZWARTEK.

Prenumeratę przyjmuje Redkcja i Administracja „Nowej Jutrzenki“ w Lublinie, ulica Rynek № 2, (II piętro).
Redakcja i Administracja otwarte codziennie (za wyjątkiem świąt) od 10—2 i 5—7.

WARUNKI PRENUMERATY: w Lublinie 8 Kor. rocznie; — 2 Kor. kwartalnie. Za odnośnienie do domu 20 hal. miesięcznie;
Z przesyłką pocztową 10 K. rocznie; — 2 Kor. 50 hal. kwartalnie. Numer pojedynczy 20 hal.

Z BOGIEM, PRAWDĄ, DOBREM i NARODEM.

KALENDARZYK.

Dnie	Imiona Świętych i Święta	Słońca		Księżycy	
		Wsch. g. m.	Zach. g. m.	Wsch. g. m.	Zach. g. m.
15 C	Longina żołn. i męcz.	6 18	6 1	1 11	8 25
16 P	† Dionizego, Juljana M.	6 16	6 3	2 16	9 19
17 S	† Gertrudy Wd. Partyei.	6 13	6 5	4 8	10 29
18 N	Środop. Gabryela Arch.	6 11	6 7	3 49	11 1
19 P	Józefa Oblub. N. M. P.	6 9	6 9	4 19	1 18
20 W	Eugenjusza M., Eufemji	6 6	6 10	4 42	2 48
21 Ś	† Benedykta Op., Filom.	6 4	6 12	5 1	4 17

Zmiana księżycy. Ostatnia kwadra dnia 16-go o godz. 2-ej po południu.

Przypomnienia robót gospodarskich. Jak się ociepli, zacząć szczepić i łączyć drzewka, najpierw pestkowe, a potem ziarnkowe. Siac zieloną paszę. Przyorywać obornik pod ziemniaki.

Uroczyste święto. Dnia 19-go marca przypada doroczny odpust św. Józefa w kościele po-Karmelickim (przy targu) w Lublinie.

Z historii Polski. 18-go marca 1241 roku—klęska Pola ów od Tatarów pod Chmielnikiem. Ze wschodu słońca, z ziemi dalekiej, zwanej Azją, której część północna, znana Polakom, zwie się Sybirem, przyszedł do Europy (w której my mieszkamy) dziki naród. Zwano go Tatarami, co znaczy piekielnikami, bo byli oni, jak z piekła, źli, okrutni, straszniejsi od dzikich zwierząt.

Gdzie tylko Tatarzy weszli, cały kraj zdeptali, miasta i wioski popalili, starych ludzi i dzieci zabijali, a młodych i silnych, powiązanych w pęta, pędzili do niewoli.

Straszna to musiała być niewola, kiedy piosenka ludowa tak mówi:

„O! bo lepiej pójść na mary,
Niż w niewolę na Tatory”.

Wpadli Tatarzy i do Polski. Powstał lament wielki i zamieszanie. „Ratuj nas, Boże!” wołały kobiety i zbierały dziatki i dobytek, i uciekały w ciemne lasy, bory. Wsie i miasta płonęły, a kto nie zdążył uciec, ginął lub dostawał się do niewoli.

Zgromadziło się rycerstwo polskie i kilka razy uderzyło na wroga. Lecz pod Chmielnikiem, w Sandomierskiej ziemi, 18-go marca 1241 roku polskie rycerstwo poniosło straszną klęskę.

X. A. K.

W jedności siła.

W Lutym dokonano się w Warszawie zjednoczenie trzech stronnictw ludowych. Ten związek nowy nosi nazwę „Zjednoczenie Ludowe”. Prezesem zarządu jest Jan Sadlak. Siedziba zarządu mieści się w Warszawie przy ulicy Oboźnej pod liczbą 11. Ogłoszona też została deklaracja Zjednoczenia, składająca się z siedmiu punktów, które tu przytoczyć należy:

1) „Dążymy do jaknajszybszej i wszechstronnej budowy niepodległego Państwa Polskiego, opierając się na akcie z dnia 5-go Listopada 1916 roku.

2) Za rzeń Państwa Polskiego uważamy ziemie odebrane Rosji.

3) Popieramy istniejącą Radę Stanu, jako tymczasowy rząd polski, który powinien objąć wszystkie dziedziny życia państwowego, zanim sejm ustali konstytucję Państwa Polskiego.

4) Rękojmię bytu i siły Państwa Polskiego widzimy w wojsku polskim.

5) Oparcie siły Państwa Polskiego widzimy w uświadomieniu obywatelskiem jaknajszerszych warstw ludowych i zapewnieniu ludowi należytego wpływu na bieg spraw państwowych.

6) Uznajemy konieczność łącznego działania wszystkich warstw w zakresie spraw narodowych i państwowych, zaś odrębność interesów ludowych w zakresie spraw gospodarczych.

7) Stoimy przy hasle: „Bóg i Ojczyzna” na gruncie jawnego działania wobec rządu polskiego i społeczeństwa”.

Niektórzy mają za złe Polskiemu Stronnictwu Ludowemu, że ono jedno tylko w Królestwie nie pograżyło się w utworzonym Zjednoczeniu Ludowym i nadal istnieje niezależnie.

I w Galicji najpoważniejsi posłowie ludowi bardzo serdecznie nawołują lud do jedności. Tak uczynił poseł Kręzła, w podobny sposób zabrał głos poseł Witos, tak też wyraził się niejaki Benedykt Wygoda w artykule swoim w №7 *Piasta*, pisząc tak: „Wielkie prace wymagają zjednoczenia, zcalania wielu sił, znacznego natężenia energii... Zadania mamy niezmiernie wielkie i trudne. Odbudowa kraju, reforma administracji, dźwignięcie rolnictwa, ocalenie resztek górniczych skarbów, tworzenie własnego przemysłu, handlu, reforma szkolnictwa, gminy i t. d. Każdy chyba rozumie, że są to prace olbrzymie, zakrojone na szereg lat. Idzie o to, by każdy zrozumiał, że do wykonania ich trzeba ogromnych sił, ale sił *zjednoczonych*, nie zaś rozproszonych, rozdartych”. Dalej tak pisze p. Wygoda: „Razem lud! Lud, najliczniejsza warstwa narodu, ma najwięcej interesu w tem, by wszystkie powyżej przytoczone prace były wykonane — a wykonane jaknajlepiej! Wykonać je można jeno zjednoczeniem i karnem działaniem. Zatem *do szeregu! Razem do pracy cały lud!* Cały polski lud pod jedną komendą do jednego celu — *dobra wszystkim!* Precz partje, frakcje, grupy! *Do pracy cały polski lud!*”.

Nikt chyba nie wątpi, że w tych nawoływaniach ludu do zjednoczenia się w jeden wielki związek, tkwi najszczerza chęć działania spolem dla dobra narodu, ojczyzny. Tak! A jednak

musimy zauważyć, że w tych nawoływaniach zawiera się duże nieporozumienie, warte wyjaśnienia. Dość np. rozważniej roztrząsnąć deklarację Zjednoczenia i artykuł choćby p. Wygody. Czy w istocie dla wyzwolenia Polski, umocnienia rządu, ułożenia konstytucji, stworzenia armji, przemysłu, handlu — i uporządkowania administracji, niezbędnie potrzeba pokasować stronnictwa ludowe?... Czemuż nawołuje się tylko lud do zjednoczenia? Przecież w kraju mamy jeszcze stronnictwa nieludowe. Chyba należałoby powiedzieć *przykład zgóry!*

Wszelakoż niema w tem dowodzeniu siły. Bo każdy zechce tak rozumować: skoro panowie, czy inteligencja, nie kasują swoich stronnictw, więc niechże i chłopom wolno będzie mieć tyle stronnictw, ile oni uznają za dogodnie dla siebie. Ale to nie jedyna i nie główna obrona stronnictw ludowych. Przecież każde stronnictwo ma w swoim programie nie tylko te szczegóły, które wymienia powyższa deklaracja i, dajmy na to, artykuł p. Wygody, lecz nadto jeszcze pewne, właściwe sobie ideały, wymagania, wskazówki pomijane, lub nienależycie doceniane przez inne stronnictwa...

Owszem, niech wszyscy działają zgodnie w tem, co dotyczy bytu państwa, narodu, — ale poza tem każdy musi wzajemnie uszanować u

KS. ALEKSANDER KOZICKI.

Historja Kościoła Polskiego

DLA LUDU

Oprócz tego Polacy czcili:

1. Ładę, boginię ładu i piękności; jej święto obchodzono przy końcu kwietnia na uczczenie wiosny.

2. Niję, boginię zniszczenia (śmierci); w jej świątyni, w Gnieźnie, płonął wieczny ogień; zwali ją inaczej Marzanną.

3. Dziewannę, boginię wiosny, która przynosiła z sobą słońce i ciepło na ziemię. I wiele innych bożków polacy czcili.

Nadto wierzyli w duchy dobre, jak Dziwożany w górach Karpatach, Nocnice, Południce, Błędnice, i w złe duchy, jak upiory, jędze, wilkołaki, zmory, strachy i t. p.

Umarłych nie grzebano, ale palono; razem z mężem palono żywą żonę jego i sługi, a także ulubione zwierzęta, np. konia, żeby mu na tanim świecie służyły wiernie. Kości i popioły składano w urny, czyli takie naczynia, zwane popielnicami, i zakopywano, robiąc mogiły, zwane żalami; na mogile sprawiano stypę, to jest taką ucztę pogrzebową (poczęstunek).

Na cześć umarłych rok rccznie w październiku obchodzono uroczystość, zwaną u nas *Zaduszkami*.

Świątyn, zwanych kontynami, polacy mieli zaledwie kilka; wiemy z historji o czterech: w Gnieźnie, w Krakowie, na Łysej Górze i na wyspie Rugji, na Bałtyckiem morzu. Gdzieindziej polacy na modły zbierali się na uroczyskach, to jest w ustroniach w lesie.

3.

Chrzest Polski.

Dawno... przed tysiącem lat na tej ziemi naszej polskiej zaszła wielka zmiana. Mieszko I, książę polski był jeszcze poganinem i czcił bożków. Według zwyczaju pogańskiego miał on kilka żon, jednak nie miał potomka. Smucił się więc bardzo, że nie będzie miał następcy tronu.

W tym czasie do Polski zaglądali misjonarze chrześcijańscy z obcych krajów, a zapewne na dworze książęcym znajdowali przytulisko. Otóż oni doradzili pono Mieszkowi, żeby porzucił żony pogańskie i wziął za żonę chrześcijankę, a wtedy Pan Bóg da mu potomstwo.

Mieszko, że to gorąco pragnął mieć następcę tronu, umyślił pojąć za żonę księżniczkę czeską, Dobrawę, chrześcijankę. W kraju czeskim już natenczas panowała wiara chrześcijańska.

Wysłał wtedy nasz Mieszko swatów do Czech, prosząc o rękę Dobrawy. Dobrawa odrzekła, że nie wyjdzie zamaż za poganina, a jeśli chce mieszko ją poślubić, to niech się ochrzci.

Święty Boże!...

...I razem z piersi chłopskiej buchnęła w przestworze,
Pieśń ludu błagająca—pieśń święta, jak zorze,
I mocna, jak słońcie, — głęboka, jak morze,
I wielka, jak zbawienie, pieśń—ból; Święty Boże,
Święty mocny, święty a nieśmiertelny!

Jak wicher kościelny

Wionęła po przez pola, przez muste obszary
Z hukiem armat zmieszana pieśń gromadzkiej wiary,
Pieśń strojnu nad wszystkie natchnienia i miary,
Pieśń jedyna na ziemi ogromem swej sily,

I dalej

Od powietrza, głodu, ognia i wojny!
Łopotala pieśń wielka, jak huf skrzydeł rojny,
Tysiącami ust głodnych o chleb, dach spokojny,
Wolała, bólem, łzami i piersią sierocą
Kołacząc do nieba bram przed straszną mocą
Wiary ufnej i tchem już rozdartym na ćwierci.

I
Od nagłej i niespodziewanej śmierci
Wybaw nas Panie!

Józef Jankowski.

Brat Albert.

I w czasach dzisiejszych bywają ludzie najofiarniejsi, bo oddający sami siebie na usługi braci ubogiej. Takim był *brat Albert*, znany powszechnie w całej Galicji, a osobliwie w Krakowie, gdzie umarł 25 grudnia roku zeszłego. Niemal cały Kraków uczestniczył w pogrzebie tego ubogiego i skromnego zakonnika, a cała Polska uczciła go wdzięcznym wspomnieniem.

Albert — to imię zakonne. Urodził się w Królestwie Polskiem 1846 roku. Rodzinne nazwisko jego Chmielewski, a na chrzcie otrzymał imię Adam. Rodzice byli zamożni, dali mu staranne wychowanie i znaczniejsze wykształcenie. Kiedy miał lat 18, wybuchło w Królestwie powstanie 1863 roku. Zaciągnął się w szeregi oddziału Chmielińskiego, był w wielu bojach i ostatecznie odniósł ciężką ranę w nogę, tak, że musiano mu ją odjąć. Jako kaleka, wycofawszy się z służby wojennej, oddał się malarstwu. Wiodoczny miał talent do tej pracy. Czas jakiś doskonalił się w malarstwie zagranicą, w Monachjum, stolicy Bawarji. Już stał się lepszym malarzem, wiele wykonywał pięknych obrazów, kiedy nagle porzucił świat i zapukał do furty klasztoru Jezuitów, prosząc o przyjęcie.

Jezuici odmówili. Nie zniechęcony tym zawodem, bo odgadł w tem inne zamiary Boże, poświęcił się całkowicie ubogim. Ale sam przedewszystkiem wyrzekł się świata, wstąpił do trzeciego zakonu św. Franciszka z Asyżu dla świeckich, a więc został tercjarzem. Za pozwoleniem władzy duchownej przywdział szary nędzny habit, przepasany białym sznurem, na nogę włożył prosty trzewik o podeszwie drewnianej, a głowę nakrywał dość dziwaczną ubożuchną czapką. Odtąd w takim stroju widywali go wszyscy na ulicach Krakowa. Zmienił się do niepoznania. Przedtem światowy panek, wykształcony, utalentowany malarz i miły towarzysz ludzi bardzo ogłodzonych. A teraz najnędzniejszy zakonnik, który wyrzekł się świata i wszelkiej własności...

Za pozwoleniem księdza biskupa krakowskiego, objął opiekę nad przytułkiem nędzarzy w Krakowie. Już sam jeden nie był w stanie usłużyć wszystkim biedakom, więc przybywało mu do pomocy coraz więcej ludzi pobożnych, którzy za jego przykładem przywdziali habit tercjarski i ślubowali zupełne ubóstwo. Nic na własność nie mieli tak, że ciągle byli niepewni jutrzejszego obiadu. Ci wszyscy pomocnicy zjednoczyli się za zgodą władzy duchownej, nie jako osobny zakon *albertanów*. Za cel wytknęli sobie: wyrzeczenie się światowych uciech, ubóstwo, modlitwa i ciągła praca dla dobra wszelkich nędzarzy. Utworzył jeszcze brat Albert osobny zakon kobiet o takiej samej regule i pod taką samą nazwą *albertanek*. One znów, wiedząc taki sam żywot umartwiony, usługiwały najuboższym i najniezszczęśliwszym kobietom.

Wśród albertanie i albertanki stali się wszystkim znani i powszechnie poważani, bo istotnie odznaczali się zawsze ogromną pracowitością i troskliwością o dobro nędzarzy. Już nie tylko w Krakowie otrzymali do obsługiwania kilka przytułków nędzarzy, ale i w całej Galicji w wielu miastach zaczęli pracować na pożytek biedaków.

Pomoc mieli rozmaita, zależnie od tego, jakiej pomocy który biedak potrzebował: jeden był bezdomny — wypadało mu dać nocleg, innemu zbywało na odzieży dostatecznej, trzebaż go więc było przyodziać, inny, gdy był głodny, dawano mu posiłek, jeszcze inny łaknął pracy — i dla takiego brat Albert miał w swoich przytułkach warsztaty, gdzie zdrowy biedak musiał pracować, lub uczyć się pracy. A i takich było немало wśród biedaków, którzy bardzo zaniebdani moralnie czasem poddawali się pod umięjętny wpływ brata Alberta i nierzadko dokonywała się w nich odmiana pomyślna do niepoznania. Z ludzi nieponiów, włóczęgów, szyderców, pijaków, zniechęconych do wszystkiego dobrego, brat Albert potrafił jeszcze wykrzesać istoty trzeźwe, pracowite i uczciwe.

Skąd brał fundusze brat Albert na utrzymanie tylu zakładów? Oto ogół chętnie dawał jałmużny: ludzie ubodzy i zamożni często brata Alberta zasilali ofiarami. Wszędzie w miastach i po wsiach znani byli kwestarze albertanie. Ich

lud chętnie obdarzał ofiarą, bo każdy wiedział, że oni istotnie wyciągają pomocną rękę ku największym biedakom. Każdy nędzarz, który stoczył się w otchłań nędzy, upodlenia, zawsze znalazł u albertanów ratunek wszelki, nie tylko posiłek, nocleg, robotę, ale i powitanie braterskie, serdeczną pociechę i naukę pokrzepiającą. Gdy więc który biedak w świecie zatracił człowieczeństwo, mógł być je odzyskać w przytulku albertanów.

Wpływ brata Alberta był wielki. Biedacy miłowali go i czcili, bo widzieli w nim istotnie swego brata i przyjaciela. Świat poważał go i wspomagał, bo widział w nim rzetelnego pracownika, oddanego całą duszą zbożnemu dziełu ratunkowemu. Był on istotnie bardzo świętobliwy, miłościwy i ofiarny. Ofiarował siebie niepodzielnie najnieszczęśliwyszemu rodakom. Potrójna miłość ożywiała jego serce: miłować Boga, miłość nędzarzy i miłość Polski. Polskę kochał od zarania młodości i gotów był za nią życie poświęcić. Gdy powstanie zawiodło, poświęcił się nędzarzom rodakom i jako brat Albert bardzo dużo biedaków podźwignął. W taki sposób narodowi polskiemu oddał wielką przysługę.

Doczekał późnej starości, bo lat 70. Do ostatka pełnił swą służbę miłosierną i zawsze surowym był dla siebie, a miłościwym dla nędzarzy. Gdy umarł, z mnóstwa serc wydarło się szczere, bolesne westchnienie. Zgasł ojciec nędzarzy, a brat nieszczęśliwych!... Zgasł zacny, świętobliwy człowiek. Wiele, wielu żałowało go serdecznie. Skromny pogrzeb dobrowolnego zakonnika odbył się przy udziale wielkiego tłumu. Z poszanowaniem odniesiono zwłoki brata Alberta do mogiły. A z pewnością nie jeden, żegnając tę mogiłę, gorąco pragnął, aby przykład brata Alberta pozostał wciąż żywy w naszym narodzie. Bo wśród siebie mamy bardzo dużo biedaków, nędzarzy, zwłaszcza w tej porze wojennej i dlatego tak nam potrzeba dużo takich ofiarnych, jak brat Albert. Obyśmy mieli ich jaknajwięcej: cichych, pracowitych i całą duszą oddanych świętej sprawie ratowania nędzarzy!

Ks. A. Kwiatkowski.

Bardzo pilna robota.

Musimy zbudować swoje Państwo Polskie! Ta myśl budzi u nas zapał, ale i niepokój, bo tyle roboty przed nami! Ale musimy jej podołać. Na każdą robotę znajdzie się czas i środków nie zabraknie, byle nie zabrakło nam dobrych chęci. Jednak, zdaje się, najpilniejszą robotą u nas — są drogi. Kraj nasz i odnośnie dróg jest bardzo upośledzony. Rząd rosyjski rozmyślnie starał się o to, by drogi w Królestwie były w najgorszym stanie. Chciał w ten sposób tłumić przemysł, handel i rolnictwo. Wydawało mu się, że ubogim krajem łatwiej rządzić będzie. Ale kto

pod kim dołki kopie — sam w nie wpada. Podczas obecnej wojny, Moskale przekonali się dowodnie, że w znacznym stopniu do ich niepowodzenia wojennego przyczyniły się złe drogi u nas

Powinniśmy najstaranniej korzystać z cudzego doświadczenia. Jeszcze wojna nie skończona. Musimy czynnie wnieść się do wojny dla wyzwolenia Polski. I dla tego celu — powinniśmy mieć dobrych, wygodnych dróg jaknajwięcej. Ale nie tylko na czas wojny, bo i podczas pokoju bardzo się one przydadzą, owszem, niezbędne są dla dobra narodu w każdym czasie. A im wcześniej posiadziemy je, tem lepiej dla nas.

Każde państwo nie żałuje wielkiego funduszu na tworzenie nowych dróg dogodnych i utrzymywanie starych w porządku wzorowym. Toć na to istnieje w każdym państwie tak zwane ministerjum komunikacji, które dzieli się na kilka wydziałów: dla dróg żelaznych, dla dróg bitych, czyli szos, dla dróg wodnych: rzek i kanałów. Po ilości i jakości dróg odrazu można poznać zasobność i zaradność państwa. Naprzykład w Belgji na każde 100 kilometrów kwadratowych przestrzeni kraju, przypada 16 kilometrów kolei; w Anglii na taką samą przestrzeń — 12 kilometrów kolei, w Niemczech — 11 kilometrów kolei, we Francji — 9 klm., w Austrii — 7 klm., w Włoszech — 6 klm., w Galicji — 6 klm., w Poznańskiem — 6½ klm., a w Królestwie Polskiem tylko 2½ kilometra!

Jakaż olbrzymia różnica między Belgją i naszym Królestwem! Tam na każde sto kilometrów przestrzeni przypada 16 kilometrów kolei, a u nas tylko 2 i pół kilometra. Dlatego tam, w Belgji, przemysł i handel olbrzymio się rozrosły, a u nas fabryk bardzo mało, handel utrudniony, a i rolnictwo rozwinąć się nie może. Słowem, koleje *ułatwiają — dopomagają* ludności we wszelkich pracach. I, przeciwnie, brak kolei ogromnie utrudnia pracę. Zresztą, zbyteczne przekonywać o tem, bo chyba my tu u siebie w kraju bardzo często i najsłuszniej narzekamy na złe drogi, wskutek których wszelkie dostawy bywają trudne i kosztowne, a nieraz nawet niemożliwe. Bo przecież niektóre okolice u nas pozbawione i kolei i szosy, podczas roztopów, wielkiego błota, doprawdy, całemi tygodniami żadnych towarów nie mogą sprowadzać i wysyłać, gdyż wówczas furmanki wypadłyby zadrogo, albo nawet żaden furman nie chce się podjąć wyjazdu.

Rosja właśnie dlatego mało budowała u nas kolei, bo ciągle hamowała wszelką naszą pracę pożyteczną. Dość porównać poszczególne gubernie w cesarstwie Rosyjskiem z Królestwem. Naprzykład, w guberni moskiewskiej na 100 wiorst kwadratowych przestrzeni, przypada 4 i pół wiorsty kolei — w guberni podolskiej 3 i pół wiorsty, a u nas w Królestwie tylko 2 i pół wiorsty!

Obecnie więc posiadamy w Królestwie Polskiem 18 dróg żelaznych o długości 3300 wiorst. Zatem, na każde 10 tysięcy mieszkańców przy-

pada 2 i pół wiorsty kolei. A tymczasem w prowincjach polskich w Prusach na taką ilość mieszkańców przypada 13 wiorst kolei, więc pięćkrotnie więcej, niż u nas w Królestwie, a w Galicji 8 wiorst kolei, więc trzykrotnie więcej, niż u nas w Królestwie.

Tak wszystko nam mówi, że pod względem dogodności drogowej, dotychczas jesteśmy najbardziej upośledzeni i stąd ponosimy znaczne straty, a nawet narażeni jesteśmy na groźne niebezpieczeństwa, zwłaszcza w obecnym czasie wojennym. Dlatego, zdaje się, powinniśmy teraz przedewszystkiem zająć się budową kolei w wielu okolicach kraju, wskazanych, oczywiście, przez polskie urzędy wojskowe i przemysłowe, ażeby jednocześnie te dwie potrzeby uzgodnić: dzisiejszą wojenną, z późniejszą przemysłowo-handlową.

Zbliża się wiosna, dużo będzie rąk do pracy zdolnych i pracy łaknących... Nasuwamy myśl podjęcia pracy publicznej dla mnóstwa ludzi, pozbawionych pracy. Taka praca publiczną, najpilniejszą i zawsze najpożyteczniejszą, może być u nas w dobie obecnej budowa kolei... Niech o tem pomyśli starszyzna polska.

A. Flos.

DO MŁODZIEŻY.

Już poprzednio napomknąłem, że *niepodobna stać się dobrym bez pomocy własnych myśli...* Umyślnie podkreślam to zdanie, bo ono jest niezmiernie ważne. Rozumie się, nie wystarcza tylko myśleć dobrze, bo jeszcze nie jest dobrym ten, kto myśli dobrze. Żeby stać się dobrym, potrzeba mieć w sobie przedewszystkiem dość mocne i dość trwałe *łaknienie dobra*.

Ktoś dał ubożemu jałmużnę. Możemy o nim powiedzieć, że spełnił uczynek dobry. Ale czy on sam jest dobry — jeszcze nie powiemy? Dlaczego? Oto chcemy coś więcej o nim wiedzieć. Czy on częściej wspiera ubogich? Jak się też zachowuje wobec własnej rodziny, sąsiadów i obcych, a nawet i względem zwierząt? Dopiero gdyśmy o nim zebrali sporo wiadomości i z nich wydobyliśmy to przeświadczenie, że wielokrotnie spełnia uczynki dobre, już wtedy śmiało możemy przypuszczać, iż on *chce być dobrym*.

Jakaż to jednak bywa najczęściej dobroć ludzka? Chwiejna, nierówna, zmieszana z podstępem, złością, pychą — słowem z przeróżnymi wadami... Przeto, zazwyczaj, dobroć ludzka nie ma stałej przewagi nad wadami i nawet częstokroć nie ma stałego kierunku... Przecież wcale nie rzadko słyszymy o tym i owym naszym znajomym takie uwagi: „dobry, ale próżniak”, „dobry, ale pyszałek”, „dobry, ale i latawiec”, „ma ładne zalety, dobre zwyczaje, ale też ma i duże

wady, nawet nie wiadomo, czego więcej: dobroci, czy złości”...

I jeszcze zauważyliśmy, że dobroć ludzka częstokroć nie ma stałego kierunku... „Paweł jest dobry, powiadamy znajomym, ale dokąd dąży? czego chce? — nie wiemy”... Naprzykład: daje jałmużnę ubogim, lecz o poprawie ich losu nie myśli... Przychylny jest, życzliwy, uczynny, ale nie wiadomo, co chce osiągnąć dla dobra swoich bliźnich. Niepodobna wyrozumieć kierunku, czyli dążenia jego dobroci...

Czegoż więc brakuje dobroci jego? Odpowiadamy: wyraźnej i obfitej myśli... Myśl musi brać udział czynny w działaniu dobroci. Bez myśli dobroć będzie, jak ów ślepiec, co stoi na bezdrożu... Dopiero myśl stała czyni dobroć stałą, dopiero myśl jasna i stanowcza, daje dobroci czasem pewność siebie i przewagę nad wadami, i wreszcie tylko myśl twórcza, układająca plany, sięgająca daleko, nawet aż do odległej przyszłości, zdoła uczynić dobroć polepszającą dolę ludzką...

Przykłady zdołają to wyjaśnić. Młodzieniec niezły jest, ma w sobie sporo dobroci. Jednak, naogół nic o nim pewnego nie da się powiedzieć. Dobry, ale co on wart? Nie wiadomo. I zresztą sam młodzieniec jeszcze nie umie wyrazić swoich jakoby najgorętszych i najlepszych pragnień. Niejako bucha od niego wielka gorącość dobroci, chciałby wszystkim nieba przychylić, wszystko zło wytepić, cały świat przerobić. Mówi dużo, a więcej jeszcze myśli. Myśli jego bujają żywo, niespokojnie, dziwacznie, ale częstokroć i bez ładu... Musi w pierw zaprowadzić ład w myślach swoich, uporządkować je podług powszechnego doświadczenia... Więc jeżeli chce dobrze czynić, musi naprzód ułożyć plan w umyśle swoim i dopiero podług niego wiernie, mozolnie i wytrwale działać. Gdy młodzieniec niecierpliwy, niewiele dobrego dokaże, choćby miał nawet anielskie chęci!

I dlatego właśnie tak bardzo potrzebne są młodzieńcom myśli dojrzałe, obfite, ułożone podług prawideł życiowych! Zaiste, szczęśliwy ten młodzieniec, który już wcześniej nauczył się myśleć prawidłowo, samodzielnie! Tylko taki, mając w sobie sporo dobroci, bardzo dużo zdziała dobrego!...

Gdy się wiele młodzieży zgromadzi, gwar, wesołość wzbiera, bucha!... Ile tam rozmów, pomysłów, pragnień, obietnic przemknęło!... Ale czy się to wszystko ziści? Czemuż nie? Bo najczęściej brakuje wytrwałości, niedopisuje pilność, za dużo krzyku, a za mało pracowitości, za wielką niecierpliwość, a rozważa niedostateczna... Słowem częstokroć w młodzieńcu dużo dobrego materiału w jego dobroci i zapale, ale przeważnie zmarnuje się ten materiał, bo brak młodzieńcowi planu, brak mocnej myśli twórczej i kierowniczej... Bo co to jest mocna wola? To myśl jasna, nigdy nie gasnąca, czujna, naganająca do czynu!

Bez myśli, rozumnie i całkowicie ułożonej, marnieje dobroć, w niwecz się obracają najpocz-

ciwsze rojenia! Niejeden ojciec, albo ktoś starszy życzliwy, nieraz młodzieńca poucza, upomina, zachęca, dając wiele rad bardzo pożytecznych. Jakież mają znaczenie dla młodzieńca te nauki? One właśnie podsuwają mu myśli jasne, plan, których on sobie sam wysnuć nie potrafił. Jedyna chwila szczęśliwa w zaraniu życia tego młodzieńca. Jeżeli zrozumiał poddane mu słowa, już ocalony, bo wnet sam sobie na przódce ułoży plan i, pilnując się jego, dobroci swojej da przewagę nad ułomnościami.

Ale, niestety, rzadko się zdarza tak pomyslnie wykorzystanie nauk udzielonych. Bo zazwyczaj młodzieniec, dający w sobie górę ułomnościom, nie roztrząsa udzielanych mu rad, nie zastanawia się nad niemi, słowem, nie myśli... i dlatego ginie!...

Oto najlepszy dowód, jak myślenie jest niezbędne dla spełniania dobrych uczynków, do wytrwania w dobrem!... Niejeden nie rozumie znaczenia udzielonych mu rad, upomnień, a znowu niejeden młodzieniec sam chętnie i obficie myśli o sobie i dlatego potrafi sam sobie „*jak stary*“, poradzić, wyperswadować, dać upomnienie, przestrożę i wskutek tego częstokroć nie chybia, trwa w dobroci, okazuje w niej znaczną stałość i dość wyraźne dążenie do upatrzonego pięknego celu.

Jeszcze o tem pomówimy, jeśli to Was, młodzieży, nie nudzi!

Józef Płomyk.

N O W I N Y.

Okrutna dobrodziejka. Dnia 2 marca sądzona była w Lublinie sprawa o znęcanie się nad sierotą. Żona urzędnika przed kilkoma laty wzięła na wychowanie z szpitala warszawskiego sierotę, ale wprędce stała się dla niej okrutną opiekunką, biła ją, dręczyła w sposób straszliwy. Aż wdała się w to milicja lubelska i pociągnęła złą kobietę do sądu. Sąd po rozpatrzeniu sprawy, przesłuchaniu świadków skazał na trzy miesiące więzienia okrutną dobrodziejkę.

Drukarze w Warszawie urządzili bezrobocie gwoli wyjednania dla siebie podwyżki wynagrodzenia za pracę wobec ciągłej drożyzny artykułów spożywczych. Bezrobocie odbywało się zgoła spokojnie i wreszcie porozumienie doszło do skutku z korzyścią dla pracowników.

Ciągle to samo. Jan Iwanik lat 17, syn włościanina, zamieszkałego w Starochornach (gmina Siedliszcze), znalazł rurkę miedzianą, zaczął ją rozbierać, nastąpił wybuch, od którego stracił trzy palce, odniósł ciężkie rany ręki i porażenie twarzy. Co za nierozwaga, lekkomyśl-

ność! Tyle razy powtarzały się takie wypadki i już tyle razy gazety o tem ostrzegały, — nie nie zdoła lekkoduchów ocalić.

Usunięcie pomnika. Zarząd polski w Warszawie postanowił usunąć wielki pomnik, postawiony na rozkaz cesarza Mikołaja I na placu Saskim, a następnie przeniesiony na plac Zielony. Przyczyna wzniesienia tego pomnika była taka: Gdy powstanie wybuchło 29 Listopada 1831 r. niektórzy znaczniejsi polacy z własnych tylko pobudek nie chcieli brać udziału w powstaniu i za to przez wojsko polskie zostali zabici. Było ich siedmiu. Potem, kiedy już powstanie siłą moskiewską zostało pokonane, car Mikołaj, nie wchodząc w przyczyny, dla których ci siedmiu zostali zabici, polecił uważać ich, jako wiernych trónowi moskiewskiemu i że właśnie jakoby za to zostali zamordowani przez własnych rodaków. Więc car Mikołaj, niby wdzięczny tym siedmiu wiernym polakom, rozkazał wystawić im wspaniałą, wielki pomnik w środku Warszawy, na widocznym miejscu — takie miejsce wybrano na obszernej placu Saskim. Pomnik dużo pieniędzy kosztował. Moskale nie żalowali grosza, gdy chodziło o uciemnienie duszy polskiej, o uraganie z praw narodowych.

Na rozkaz cara najlepsi artyści wykonali ozdoby do pomnika. Na ten pomnik użyto 3,460 centnarów żelaza i 45,000 funtów spiżu. Budowano ten pomnik od 1837 do 1841 r. Poświęcenie odbyło się uroczystie 29 Listopada 1841 r. Polacy nienawidzili ten pomnik, bo wiedzieli, po co został postawiony, ażeby im przypominał ciągle, że ich usiłowania wyrwania się z kajdan moskiewskich były daremne, że moskał nie od da tego, co zabrał — i że ma takich polaków, którzy jemu, a nie swemu narodowi są wierni. A jednak czas lepszym nauczycielem, aniżeli nawet wszechpotężny car *batiuszka* Mikołaj, bo oto czas przekonał, że Bóg mocniejszy od cara. Co car postawił za drogie pieniądze i zdawało się trwałe, bo żelazne i spiżowe, a jednak Bóg pokierował tak losami narodów, że ten naród dotąd nieszczęśliwy, zgniebiony, zdeptany, sprawiedliwością boską podnosi się, zmartwychwstaje i — ten pomnik urągliwy, kłamujący obala! Miejmyż w pamięci ten, zdaje się, drobny szczegół, który powinien słabszym duchom stać się wskazówką, że wcześniej, czy później sprawiedliwość zatryumfuje, a kłamstwo i przemoc muszą szczytnąć, jak ów mikołajewski pomnik w Warszawie. Poczekajmy trochę, a także sam los spotka i pomnik cara Aleksandra II w Częstochowie. Częstochowa zadrogie jest miejsce sercu każdego Polaka, ażeby je plugawiło takie kłamstwo podłe, jak ów pomnik moskiewski w Jasnejgórce. Materiał z niego przyda się na armaty polskie.

Zapas żywności do zniw. Biura Wolfa donosi: Amerykańska Izba handlowa w Berlinie ogłasza w „*Weekly Raport*” (Tygodniowym sprawozdaniu) z dnia 3 marca, obszerny artykuł, w którym z naciskiem podkreśla, że środki żywności Niemiec wystarczają aż do najbliższych zniw.

ZAJĄC.

(dokończenie)

— No, to chodź, jeno ci przykazuje, nie siedź! Zara, aby się tylko fura trafiła, pojedziem.

— Pojedziem, jagodo, pojedziem.

— Boć tam i dzieciśka Bóg wie jak...

— No — siostra się przy nich ostała...

— Co siostra... zawdy to nie matka...

Na progu stał pan Jankiel, szynkarz z Pohulanki, i witał swoich gości.

— Aj, waj! — zawołał — co ja widziałem?! Złoto, srebro, perłów widziałem, a Michała z Michałową nie widziałem! Aj! takie gość! takie gość! w Pohulance to wielki rarytas je! wielgie mecyje! Chodźcie do izby, tam je Mateusz Drozd z waszej wsi, i Walko jest. i Michał jest, wszystkie są! — czy to dziś nie święty Marcin? — nie zabawa?!

Michałostwo weszli do karczmy, w której było już pełno ludzi. Jankłowa nie mogła obsłużyć wszystkich gości, taki był popyt na gorzałkę, piwo i miód. Kumowie ściskali się, całowali, zapewniali się nawzajem o swoim przywiązaniu i czułości.

Na dobitkę, ni stąd ni zowąd, znaleźli się jacyś dwaj wędrowni muzykanci, a widząc, że ludzi jest dość i zarobek być może, zaczęli stroić skrzypce.

Młodzieży tego tylko było trzeba. Zaraz znalazł się jakiś elegant, gospodarski syn, tupnął podkówkami, chwycił w pół zaplonioną dziewczuchę i, krzyknąwszy hu! ha! puścił się w tany.

Za jego przykładem poszli inni, i wnet obszerna karczma Jankła zamieniła się na salę balową. Michałowej usiąść nie dano; była to kobieta przystojna, wesoła, gospodyni porządna; za honor sobie miał każdy, kto mógł z nią tańczyć. A i ona sama zabawić się także lubiła.

Zmęczona, wymknęła się do sieni — a ponieważ umówiła się z Mateuszem, że na jego furmance powrócą, więc też wyszła przed karczmę, upakowała w wozie wszystkie sprawunki i okryła je dobrze słomą.

Było już późno; noc pogodna, choć zimno; księżyc płynął po niebie wysoko i rzucał blade promienie na poczerbiały dach karczmy, na wioskę, las i rzekę, wijącą się między łąkami.

Przy koniach nie było nikogo, — jedni poszli tańczyć, inni pić, inni wreszcie przypatrywać się zabawie. Szkoda było babinie zostawić sprawunków na łasce losu; wgramoliła się więc na wóz, otuliła się chustką i pilnowała, w nadziei, że wyjdzie ktoś z karczmy i będzie dawał baczenie na wozy.

I dumało się babinie o tym zającu, co im dziś przez drogę przeleciał, o jarmarku, o butach, o chustce, o Michale swoim, który chłop dobry jest, ale czasem lubi się zabawić zanadto, — o dzieciach, a najbardziej już o tym jasnowłosym Jantosiu-pieszczochu, który wciąż lubi za nią łązić, jak nie przymierzając cielę za krową, i, choć ma dopiero dwa lata, już gada: „ma-

tulu”, tak jak najstarszy. Okrutnie dobry dzieciak i mądry, — po ławce do komina wylezie i patyczkiem z ukropu, z garnka potrafi wyjąć kartofel... taki dowcipny rak!..

Zadumała się kobiecina o tem, że ma tyle lnu do międlenia, że całą zimę prząść będzie na nowym kołowrotku, że z tego przedziwa naszyje koszul dla chłopca, dla starszych dzieci, dla Jantosa... A to płótno będzie śliczne, cienkie, równe, wybielone na słońcu... Jantós pomoże jej rozciągać na łące, skoro już wiosenne słońko przygrzeje, — ten Jantós, taki ładny, taki mądry, który o wiosnie już pewnie gęsi paść potrafi... Jak kto się urodzi zdolny, to go długo uczyć nie trzeba; dość mu jednego słowa, dość mu raz dobrze pięścią w kark, a reszty sam się domyśli — odgadnie...

Chłodno jest na dworze, wiatr jesienny się wzmaga. Babina otuliła się w chustkę, wkopała nogi w słomę i — duma. Zmęczona podróżą, zmęczona tańcem, sni... czuje senność, oczy jej się kleją — marzy... Zdaje jej się, że siedzi w ciepłej izbie, przy kominie, na którym ogień bucha wesoło; kartofle się gotują, w ryneczce skwierczy, jak nieszczęście słonina... Ona sama siedzi przy kołowrotku i przedzie. Jantosowi swojemu bajkę opowiada: starsza dziewczyna pierze drze pod piecem, chłopak sobie wiatraczek z gontów robi, a Michał podrywkę na ryby szykuje... Tak dobrze w tej chałupie, spokojnie...

W karczmie tymczasem bawią się, aż szyby brzęczą, wędrownym muzykantom pot oczy zalewa, Jankiel z wielkiej krętaniny chałat z siebie zrzucił.

Mateuszowym konikom przykrzy się stać przed karczmą; zmęczone i głodne, chciałyby się dostać do stajenki, zjeść świeżego siana, a później rozciągnąć się na słomie, wypocząć. Schyliły łby ku ziemi, pożywienia węższą, krok za krokiem posuwają się naprzód, aż już karczmę minęły, a ujrawszy się na drodze do Zawadówki, parsknęły rażno i pobiegły wyciągniętym kłusem...

Muzyka brzmiała w karczmie tak głośno, że turkotu wozu nikt nie słyszał, a szkapiny, śpiesząc do domu, pędziły po równym, twardym gościńcu.

Mateusz kiwał się senny za stołem, Michał, ożywiony zabawą i kilkoma kielichami gorzałki, o Bożym świecie zapomniał.

— Graj, muzyka! — wołał, opejmując w pół którąś z licznych swoich kumoszek — graj! — i, zwinąwszy połę od sukmany na rękę, przyspieszywać zaczął;

Oj, w kalinowym lesie,
Oj, djabeł babę niesie!

— Macie też co śpiewać... — odezwała się kuma — jeszcze, chowaj Boże, w złą godzinę...
— Czeka jta dalej — zawołał —

Ale upadł i jęknął,
Bo mu zara grzbiet pęknął!

— To ci galanta baba być musiała — odezwał się jakiś chłop — i som djabeł nie mógł jej podźwignąć!...

— Wiadomo — wtrącił inny — baba to je ciężar...

— A musi to wy lekkie, jak piórko?... wiater-by was zdmuchnął!...

— Aj, wiater! wiater!... — dorzucił Mateusz półsenny — słyszyta, jak huczy w kuminie? Pewnie się kto obwiesił...

— Ziąb skaradny na świeciel!

— Ziąb? — zawołał Michał, podskakując, — co mi ta ziąb? Niech się psi zimna boją, bo na dworze siedzą, a człowiek, skoro je w chałupie...

Ej, moja Małgorzato,
Nie zważaj ty se na to!
Bo, choć na dworze zima,
Ale za piecem lato.

Hu! ha!

— Mateusie! Mateusie! — wrzasnął młody parobczak, wpadając nagle do karczmy.

— A co? półkwartek ci dać?... Lej, Janklu, nie pytaj! ja rzetelnie zapłacę... do jednego grosa...

— Ale... Mateusie!...

— Co ta będziesz gadał po próżności... pij, kiedy ci dają, i tylo!

— Juści, pij!... Tu nie pij — jeno waszych kuniów niema przed karczmą!

— Ukradli! — krzyknął odrazu wytrzeźwiony Mateusz — nieszczęście moje wielkie!

Michał urwał swą piosnkę w połowie nuty.

— Ludzie, ratujta! — zawołał Mateusz — goń, kto w Boga wierzy! ratujta moją chudobę! Hej, Jankiel, psiawiaro! kto tu był obcy? to musi twoje współniki!...

— Co to współniki!... jakie współniki?... ja was za potwarz do sądu podam!... widzita go!... ja wam pokażę, co to jest takie kalumnie zrobić!... Co?... współniki?... kto tu złodziejski współnik?...

Mateusz nie zważał na te krzyki.

— Chłopcy! — rzekł — kto w Boga wierzy, siadajta na kunie wierzchem i gońta! Nagrodzę, rzetelnie nagrodzę!... Oj! moje bydłatka kochane, od zrzebiat odchowane!... moja chudoba jedyna!...

Lamentujący Mateusz został przed karczmą, przy wozach, a chłopci, dosiadłszy koni, rozbiegli się na wszystkie strony.

Michał na koniu swego sąsiada Marka pognął za złodziejami napowrót ku miastu.

.....

Na drugi dzień pod wieczór powrócił dopiero do wsi. Smutny, zbiedzony, głodny, nieśmiało wszedł do chałupy.

— Toć Boga pochwał przynajmniej — rzekła do niego żona — przecie katolik jesteś...

— Niech będzie pochwalony... — odrzekł. — Gadałem ci o zającu, nie chciałaś słuchać, a tera nieszczęście... ni prosioka, ni pieniędzy, ni butów, ni capki — i jeszcze Mateuszowe kunie ukradli... Będę ja tera wiedział, jak to babskiego gadania słuchać... jak to na zająca nie zważać...

Kobieta rozśmiała się.

— Ej... nie śmiej się, babo! — krzyknął groźnie — bo mnie mankulja porwie, i jesce co złego komu zrobię!... Nie zaczepiaj mnie... pókim dobry!

Baba wstała z ławki i rzekła:

— No, nie pomstuj jeno; co się stało, to stało, to się nie wróci — a tera chodźno do kumory, pokażę ci przybytek...

Chłop wszedł i ze zdumieniem, zobaczył swoje buty nowe i czapkę i z niemniejszym zdumieniem dowiedział się, że Mateuszowe konie od wczorajszej nocy są w domu.

— Pamiętajże se tera — mówiła, śmiejąc się, baba — żebyś sam chodził buty kupować, to przynajmniej złodzieje nie będą boso chodzili.

— Ej, Magduś! Magduś! — jagodo... — dobra ty kobieta, ale... zawdy to je kiepsko. jak człowiekowi zając bez drogę przeleci!...

Klemens Junosza.

RADY GOSPODARSKIE.

Szkodniki drzew owocowych.

1) Zbierać w zimie suche, pozlepiane liście oraz pierścionki z twardych jajeczek i palić.

2) Pnie w zimie skrobać, zwilżając wodą.

3) Pnie i całe korony zlać mlekiem wapniem za pomocą sikawki, na wczesną wiosnę.

4) Zakładać opaski na pniach, smarowanie lepem lub mazią osiową, na wiosnę i na późnej jesieni; gnieść często liszki, które się pod niemi gromadzą.

5) Wygniatać gąsienice, pojawiające się gromadnie i kupki jajek, okryte kutnerem na płotach, domach, dzikich drzewach i t. p. (w zimie i wczesną wiosną).

6) Otrząsać owady na płachty, gdy się liście pojawiać zaczęły i potem aż do przekwitnienia.

7) Skrapiać korony, napadnięte przez liszki, w maju i czerwcu zielenią paryską (do 8 lutów zieleni — 8 lutów mąki żytniej na 100 kwart wody, dobrze mieszać; rozpylacze te same co i do cieczy bordoskiej, do której zieleni można dodawać).

8) W rozwidleniu pnia kłaść w czerwcu pęczki siana lub mchu, wybierać gąsienice i poczwarki, chroniące się pod niemi i palić je.

9) Zapalać na ogrodzie ogniska w ciepłe wieczory lipcowe i sierpniowe, żeby się w nich spalały ćmy.

10) Zdejmować owoce robaczywe jeszcze małe, nie czekając aż same spadną i palić je lub skarmiać świniami. Oszczędzać ptaki śpiewające, robić dla nich gniazda, niszczyć w ogrodzie koty, które są wrogami tych ptasząt.

Podane sposoby prowadzą do wyniszczenia większości szkodników w sadzie. Zaleca się

nadto częste i obfite zasilanie nawozami i utrzymanie ziemi i drzew w czystości. W sadzie wczesną wiosną i jesienią mogą z pożytkiem chodzić świnię, kury, perliczki, niszczące dużo robactwa.

E. Jankowski.

ROZMAITOSCI.

W Zurychu (Szwajcaria) zamieszkuje konsul austriacki. W tych dniach niewiadomi złoczyńcy zakradli się do jego mieszkania i rozbili kasę, z której zabrali kilkadziesiąt tysięcy koron w złocie i różne kosztowności. Ale widocznie tym rabusiom chodziło nie tyle o pieniądze, ile o tajne papiery polityczne, które konsul otrzymywał od swego rządu. Z tego powodu kradzież ta stała się głośna i z pewnością policja szwajcarska przy pomocy policji austriackiej postara się wysledzić rabusiów.

Różne miary u różnych ludzi. Niedawno któryś dowcipny legionista głośno wypowiedział gorzką prawdę. Oto zauważył tak: w początkach wojny pokpiwano z żywych legionistów, jak gdyby z warjatów, potem, gdy który umarł już wyprawiono mu pogrzeb dość wspaniały i tłumny. Potem już, gdy który legionista stracił w boju rękę, lub nogę, ubolewano nad nim i chętnie wspomagano go jakąś ofiarą. Teraz dopiero przychodzi kolej na żywych i zdrowych legionistów. Już ich wita się życzliwie, już ich się poważa i ceni, jako synów ofiarnych Ojczyzny, którzy dla jej szczęścia dają to, co mają najdroższe, — bo życie własne i wyrzeczenie się własnego szczęścia. Już dziś nikt nie żartuje z legionisty.

Dlaczego bywały tak różne miary, któremi mieszano wartość legionistów? Bo są ludzie, których olśniewa tylko powodzenie, zysk zdobyty. Niechby dziś Moskal zwyciężył, doprawdy znajdzie się nawet bardzo dużo takich, co mu przyklaskiwać będą, wołając: „o zuch, dzielny, chwala mu”!... Słowem, kto na wierzchu, — ten najlepszy, a mniejsza o to, co on za jeden, lotr, czy dobroczyńca!... Jedni więc szacują ludzi tylko podług ich powodzenia, — a znowu drudzy wglądają w ducha ludzkiego, tam doszukają się zamiarów i sposobów, zapytują: „dokąd dążysz, czego chcesz i jakich ku temu celowi używasz środków”? — i dopiero podług odpowiedzi, podług wartości czynów szacują wartość człowieka. Ktoś może nie mieć powodzenia, a jednak wielce jest czcigodnym, — a znowu ktoś może osiągać wielkie powodzenie i być ostatnim hułtajem, godnym szubienicy. Która miara lepsza, właściwa? Jedni, szacując zdawną legionistów podług tej drugiej miary, zawsze bardzo czcili w nich ofiarnosć i zaparcie się dla ojczyzny. Inni znowu, mając na widoku tylko powodzenie, narazie

drwili z legionów, a dopiero teraz, gdy w związku z walecznością legionów Polska powstała, gotowi są czcić legionistów.

Uwagi o sadownictwie. Kraj nasz rokrocznie sprowadza z zagranicy owoce za kilka milionów koron. Owoce wszelkie, szczególnie jabłka i śliwy, udają się u nas znakomicie, a jednak sadownictwo się nie rozwija tak, jakby należało, jak to w innych krajach widzimy. W sąsiednich krajach, jak Morawy, Czechy, Niemcy, widzimy nie tylko wspaniałe sady, z których właściciele mają wielkie dochody, ale widzimy tam obsadzone drzewami owocowymi wszystkie drogi. W niektórych gminach dochód za owoce koło dróg pokrywa nietylko wszystkie wydatki gminne, ale wystarcza na utrzymanie dróg, a nawet na zapłacenie podatku za wszystkich gospodarzy w gminie. Dzierżawca tych drzew może za łaćć lepszą cenę za owoc, bo nie potrzebuje utrzymywać żadnych stróżów do pilnowania, gdyż tam nikt nawet upadłego pod drzewem jabłka nie weźmie.

A u nas? Nietylko skradną, ale gałęzie połamią, drzewa poniszczą, a to, co pod drzewami i koło drzewa rośnie, wydepczą, chociażby tam nawet zboże rosło. Nie tylko przy drodze, ale w sadach, dobrze ogrodzonych, trzeba u nas trzymać stróżów, bo inaczej nic się nie osto. Tam, gdzie kwitnie sadownictwo, rozwija się także różnorodny przemysł owocowy, bowiem owoce te suszą, przerabiają na powidła, marmelady, na wina owocowe, przyczem dużo ludzi znajduje zarobek i utrzymanie. Przez wyrób win owocowych otrzymuje się zdrowy napój i zatrzymuje się w kraju pieniądze, któreby szły na zakupno zagranicę.

Te uwagi napisał poseł ludowy, Andrzej Średniawski, o Galicji tylko, ale mogą one być zastosowane i do Królestwa, Bo jak tam, tak i tu jeszcze nie dbamy o sady, i jak tam, tak i tu jeszcze wielkie, straszne szkodnictwo jest poprostu wielką klęską dla naszych sadów.

Wiadomości wojenne.

Front wschodni. Na wielu miejscach między morzem Wschodnim (Bałtyckim) a Dniestrem żywa czynność na przedpolu. Nad Narajówką zaatakowały wojska szturmem części rosyjskich stanowisk, zburzyły rozległe podkopy pod miny i wróciły z 2 oficerami i 256 ludźmi w jeńcach i ze zdobytymi kilku maszynowymi karabinami minjerkami.

Front zachodni. Na południe Armanieres odpędzono ogniem oddziały angielskie. W obrębie Ancre zaatakowali Anglicy między Achiet le Petit i Grevillers, i w nocy po obu stronach Busquoy, zostali krwawo odparci i zostawili w naszych rękach 50 jeńców. W Szam-

panji trwały walki na południe od Ripont ze zmiennym szczęściem. Na wschodnim brzegu rzeki Mozy, koło St. Mihiel, speszły ataki Francuzów na niczem.

Front Włoski. Działalność bojowa wogóle jest nieznaczna. W okolicach Gorycji obrzucili nasi lotnicy bombami obóz nieprzyjacielski pod Lucinico.

Front Macedoński. Pomiedzy Orchidą a jeziorem Prespa atakowały bataljony francuskie nasze pozycje. Napad naszych samolotów na dworzec Vortokop, na południe od Vodena, spowodował wielki pożar.

Wiadomości polityczne.

Zerwanie stosunków Chinów z Niemcami. Biuro Wolfa powtarza następującą depeszę Reutera z Pekinu: Izba posłów na posiedzeniu tajnem zgodziła się na politykę rządu włącznie z zerwaniem stosunków z Niemcami większością około 300 głosów.

Chiny a koalicja. Zbliżenie się Chin do koalicji budzi w Rosji wielkie nadzieje co do wywozu amunicji z Ameryki. Porty chińskie mają służyć do przewozu materiałów wojennych, ze Stanów Zjednoczonych do Rosji i odciążyć Władywostok. Rosja sądzi, że także wzmogą się jej wpływy polityczne i ekonomiczne w Chinach.

Zamknięcie obrad Dumy. Petersburska Agencja Telegraficzna donosi. Dwoma specjalnymi ukazami car zarządził przerwanie z dniem 11 marca posiedzeń Dumy i Rady Państwa. Obie izby rosyjskie parlamentu powołane zostaną do dalszych obrad w kwietniu 1917 r. lub też w razie wyjątkowych okoliczności, wcześniej.

TREŚĆ NUMERU: 1) Kalendarzyk tygodniowy. 2) W jedności siła — przez Pisarza „N. Jutrzenki”. 3) Historia Kościoła Polskiego — przez ks. Aleksandra Kozickiego. 4) Król Władysław Jagiełło. 5) Święty Boże — wiersz — przez Józefa Jankowskiego. — 6) Brat Albert — przez ks. A. Kwiatkowskiego. 7) Bardzo pilna robota — przez A. Flosa. 8) Do młodzieży — przez Józefa Płomyka. 9) Nowiny. 10) „Zając” — przez Klemensa Junoszę. 11) Szkodniki drzew owocowych — przez E. Jankowskiego. 12) Rozmaitości. 13) Wiadomości wojenne. 14) Wiadomości polityczne. 15) Z ostatniej chwili 16) Żarty.

Cena ogłoszeń: za wiersz drobnem pismem 70 hal.

Z OSTATNIEJ CHWILI.

Rewolucja w Petersburgu.

W Petersburgu wybuchnęła rewolucja. Władzę objął nowy rząd, złożony z 12 posłów Dumy Państwowej.

Wszyscy ministrowie zostali osadzeni w więzieniu.

Garnizon miejski w liczbie 30000 żołnierzy przyłączył się do rewolucjonistów.

W trzecim dniu rewolucji został w stolicy przywrócony porządek.

Posel Engelhardt został przez nowy rząd mianowany komendantem Petersburga.

ŻARTY.

NIEGLUPI GRZELA.

— Uważaj Grzela, jak przyjedzie nauczyciel, to mu wrota otworzysz.

— A kióż to jest nauczyciel?

— Juści taki, co wszystko umie.

— To będzie też umiał i wrota otworzyć.

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY.

Zbliża się koniec kwartału pierwszego. Uprzejmie prosimy Szanownych Czytelników o wczesne odnowienie przedpłaty i uregulowanie rachunków.

Poczty przyjmują pieniężne przekazy. A w Lublinie można opłacić należność za „Nową Jutrzenkę” w następujących księgarniach i sklepach:

W KSIĘGARNIACH:

K. Kotlarski, Krakowskie-Przedmieście Nr. 39.

K. Majewski, Krakowskie-Przedmieście Nr. 17.

Cholewiński, Krakowskie-Przedmieście Nr. 30.

Naramowski, Królewska Nr. 6.

Księgarnia Ludowa, Ś-to Duska Nr. 10.

W SKLEPACH:

Poniatowski, Krakowskie-Przedmieście Nr. 44.

„Rekord”, Kapucyńska Nr. 2.